

Witalij Wawikin

Na zakurzonych drogach i dalekich gwiazdach

Był luty 1946 roku. Powrót do domu odwlekał się i Gary Weyman coraz częściej łapał się na tym, że wcale mu do tego nieśpieszno. Najpierw, nie chciał wyjeżdżać, teraz, nie chciał wracać. Zwłaszcza po tym, jak poznał wysoką Czeszkę o imieniu Własta. Frontowi przyjaciele nieraz dowcipkowali na ich temat, ale on starał się nie zwracać na to uwagi, a przynajmniej nie obrażać się i nie szukać zwady, jak czynił to w latach prohibicji. Wtedy, był jeszcze całkiem młody i nie zastanawiał się, czy dożyje następnego dnia. Kule świsnęły gdzieś obok, a on śmiał się i mówił, że żyje jednym dniem. Może, właśnie dlatego przeżył. Podobnie jak potem, w Europie, przy wyzwaniu Paryża i Marsylii, przy zdobywaniu linii Zygfryda i forsowaniu Renu. Zawsze byli przy nim Scott Halvorson i Kevin Maclaine. Pierwszy, cały czas zbierał żuczki i rzadkie zioła, marząc, po powrocie, o habilitacji z biologii, drugi miał skromniejsze marzenia, że zostanie pianistą w jakimś niedużym pubie. Każdy z nich mógł pochwalić się jeszcze jednym, osobistym przyjacielem - starym, dobrym karabinem M-1, chociaż botanik czasami zdradzał go ze snajperskim Springfieldem i wcale nie dlatego, że był dobrym strzelcem, ale dlatego, że czasami udawało mu się z tej broni oddać kilka dobrych strzałów. Weyman nieraz zastanawiał się, po jakiego diabła związał się z tymi dwoma pechowcami, ale zadawalającej odpowiedzi nigdy nie znalazł. Poznali się podczas operacji „Overlord”. Ludzie dookoła ginęli setkami, tysiącami i nikt (ani Maclaine, ani Halvorson, ani Weyman) nie miał nadziei na przeżycie. Kule przelatywały tak blisko, że do ich gwizdu można było się przyzwyczaić. Zapach krwi i poszarpanych wnętrzności stał się czymś naturalnym. Żywi i martwi byli obok siebie, umierali też obok siebie. W takich momentach nikt nie myślał o przyszłości, nie myślał też o przeszłości. Była tylko teraźniejszość i w niej zawiązała się ich przyjaźń. Po tym, prawdopodobnie, było to już najważniejsze, zawsze usuwając na drugi plan to, kim byli wcześniej i kim zostaną po powrocie. Halvorson zostawił na środkowym zachodzie psa, dziewczynę, która obiecała czekać i brata, który do jego powrotu powinien już stać się pełnoletni. Maclaine, w Kalifornii, zostawił tylko nadzieje i mętne wspomnienia o bogatych kobietach, które dość często brały młodego pianistę pod swoje skrzydła. Weyman, w Illinois miał żonę Hannę i czteroletniego syna Alexa. Ale to wszystko było tam, po drugiej stronie oceanu. Tu, w Europie, nie było niczego, oprócz przyjaźni i wspomnień.

Z Włastą, wszystko zdarzyło się tak nagle, że Weyman sam nie rozumiał, jak to się stało. Wczoraj, dziewczyna po prostu szła obok, a dzisiaj, obudzili się w jednym łóżku. Dom, w którym się zatrzymali, był stary i Własta, siedząc na łóżku, opowiadała łamaną angielszczyzną, jak się znalazła w Paryżu.

- Co za ironia losu?! - powiedział wtedy swoim przyjaciołom. – Przecież i tak, wcześniej czy później wszyscy tu umrzemy.

Ale nikt z nich nie umarł. Co więcej - Własta doczekała się go, a on... On ani przez chwilę nie wątpił, że będzie czekać. Stuknęła mu prawie czterdziestka, a ona miała zaledwie dwadzieścia. Zgrabna, wspaniała, kwitnąca. Jedynym problemem ich stosunków był zły angielski Własty i nieznamość czeskiego przez Weymana. Chociaż, mówili mało, a jeszcze mniej się rozumieli. Tak było na początku, później leżeli godzinami obok siebie i opowiadali o czymś w ojczystych językach. Opowiadali tak dużo i tak długo, że kiedy nastał czas wyjazdu, Weyman zrozumiał, że nie

zostawi Czeszki na tym cudzym kontynencie. Przyjaciele nie komentowali. Halvorson był prawie dwa razy młodszy od Weymana, dlatego uważał, że ten lepiej wie, co robi, a pianista miał to gdzieś, tym bardziej, że teraz, przed wyjazdem, na niczym mu już nie zależało. Przez cały czas, będąc tu, żył marzeniami, a teraz przestraszył się, że wszystkie plany, jakie snuł, trzeba będzie wprowadzić w życie.

2

Miasto, w którym się zatrzymali, było brudne i jakoś, tak po europejsku, skulone i zwarte. Pensylwania spotkała bohaterów bez orkiestry i bez rzucających się na szyję dziewczyn. Niczego podobnego nie było także i w Nowym Jorku. Cała sława przypadła tym, którzy zostali zdemobilizowani wcześniej, a na ostatnich, nikt nie zwracał uwagi, jakby ludziom już zabrakło zapalnika do wybuchu radości.

- Swan-City - powiedział Halvorson, kierując się do swego pokoju, by się przebrać.

- Co? – nie zrozumiał Maclaine.

- Nazwa tego miasta.

- Ach, tak... - pianista zasępił się i zapalił papierosa.

- Przeżywasz, że musisz jechać najdalej?

- Najdalej? - Maclaine drgnął.

- No, tak - uśmiechając się, wzruszył ramionami Halvorson. - Dzisiaj Weyman spotka się ze swoją rodziną. Jutro ja dotrę do swojego domu...

- Weyman, chce zostać z Czeszką - Maclaine z nadzieją spojrział na byłego gangstera i znów zwrócił się do Halvorsona. – A poza tym, kto wie, może uda mi się namówić ich, by pojechali ze mną do Kalifornii.

- Do Kalifornii? - ożywiła się Czeszka, słysząc znajome słowo.

- Chcesz pojechać do Kalifornii? – zapalił się pianista.

- W Kalifornii ciepło! - powiedziała Własta i Maclaine stracił pewność, że rozumiała jego zaproszenie do wspólnego wyjazdu.

- Tak! W Kalifornii ciepło - powtórzył zamyślony Weyman.

- A w Illinois zimno - ostrożnie przypomniał mu Maclaine.

- Czasem, nawet bardzo zimno - Weyman otoczył Włastę ramieniem i poprowadził w stronę znajdującego najdalej pokoju.

Dziewczyna coś powiedziała do niego po czesku. Weyman przytaknął, chociaż nie rozumiał ani słowa. Fotografia żony i syna, którą wciąż jeszcze przechowywał w kieszeni, była sfatygowana i niewiele było na niej widać. Próbował przypomnieć, jak wygląda Hanna. Przypomnieć twarz syna, nawet nie próbował. „Przecież Alex wyrósł i zmienił się - mówił sobie. – Tylko, że...”

Popatrzył na zegarek. Spotkanie z żoną zaplanował zaledwie dwie godziny temu i teraz obwiniał się za to, że zadzwonił z Filadelfii do domu. Gdyby tego nie zrobił, Hanna czekałaby w Illinois, a tak... Spojrzał na Czeszkę. Nawet nie zdążył wymyśleć niczego sensownego, nie pomyślał, co i jak powiedzieć. Nie, odcinać się od Alexa nie chciał, ale z Hanną... Tak, z Hanną rzeczywiście był problem. „Być może, należało powiedzieć jej o Władzie przez telefon?” - pomyślał i natychmiast się roześmiał. Przecież wyżył w Chicago w czasie prohibicji, uszedł z życiem podczas operacji „Overlord” i nigdy się nie bał, a tu... Chociaż, może tu także nie było strachu. Zdecydowanie. Najpewniej sumienie. Dalekie, zapomniane, ale jednak sumienie...

- Nie będziesz miała za złe, jeśli spotkam się z rodziną najpierw tylko sam? - zapytał.

- Tylko sam? - powtórzyła, próbując uchwycić znaczenie niezrozumiałych słów.

- Bez ciebie.

- Beze mnie – zasępiła się, ale skinęła głową. - Twoja rodzina. Ty. Beze mnie?

- Tak.

- Zgoda - ściągnęła wargi, potem szeroko się uśmiechnęła i pocałowała go w usta.

3

Alex rzeczywiście wyrósł, zmienił się, stał się prawdziwym małym człowiekiem. Weyman rozmawiał i obserwował go, starając się unikać spojrzenia Hanny. Siedzieli w hotelowej kawiarni. On, rodzina i jego przyjaciele. Halvorson wypił parę butelek piwa i, gdy zaszumiało w głowie, zaczął niezgrabnie opowiadać nieprzyzwoite dowcipy. Maclaine rzucił na Alexa zmieszane spojrzenie, ale Hanna roześmiała się i powiedziała, że chłopiec, mimo wszystko, niczego jeszcze nie zrozumie. Jej śmiech zabrzmiał gdzieś daleko. „No, dość ociągania się” - zdecydował Weyman, wstał, posadził syna na kolana Maclaineowi i poprosił Hannę, by wyszła z nim na ulicę. Potrzebne słowa cisnęły się do gardła, nie zamierzając ustępować innym, dlatego zdecydował się wyrzucić je natychmiast, ignorując długie preludium.

- Wiem o Czeszce - powiedziała.

- Wiesz? - pogubił się.

- Halvorson, kiedy mu zaszumiało w głowie, zaczął dużo mówić, więc...

- Ciapa! - skrzywił się, ale złości w głosie, wbrew zamierzeniu, nie było.

- Nic się nie stało - powiedziała. - Nie obrażam się.

- Nie obrażasz się?

- W sensie, że jeśli jeszcze zechcesz wrócić, wszystko, to... - zamilkła, słysząc głos Alexa.

Chłopiec wybiegł na ulicę. Za nim ukazał się Maclaine, a na końcu, chwiejąc się, Halvorson.

- Przysięgam, to nie dziecko, a istny diabeł! - usprawiedliwiał się Maclaine.

Chłopiec podbiegł do ojca, zatrzymał się, spotkał się z nim spojrzeniem, zasępił się i pobiegł z powrotem do Maclaina. Potknął się, upadł, obdarłszy dłonie zasapał, ale powstrzymał się od płaczu.

- Nie boli? - zapytała Hanna.

Alex pokręcił głową, podniósł kamień, o który się potknął. Ten drgnął, jego forma zmieniła się, spod twardego pancerza ukazały się krótkie, czarne łapy. Chłopiec krzyknął i odrzucił kamień-żuka. Hanna znów roześmiała się. Wtórząc jej, roześmiał się Weyman, potem Halvorson, Maclaine i, wreszcie, sam chłopiec. Kamień-żuk, który próbował znów stać się po prostu kamieniem, usłyszał śmiech, wysunął spod pancerza czarne łapki i rzucił się do ucieczki, natknął się na nogi Halvorsona i przewrócił się na plecy.

- Spokojnie bratku! – jeszcze głośniejszym śmiechem roześmiał się Halvorson. - Mnie tak łatwo nie uda się zbić z nóg!

Pochylił się, podniósł żuka, długo mu się przyglądał, nie przestając się śmiać, potem spoważniał i stwierdził, że nigdy nie widział czegoś podobnego.

- No, gdybyście spędzili w Europie jeszcze parę lat, to, może przestalibyście i krowy rozpoznawać! - spróbowała zażartować Hanna.

- Nie wiem, co do krów, ale on mówił, że na żukach zna się lepiej niż na kobietach - powiedział Maclaine i widząc, że Hanna szeroko się uśmiecha, także się roześmiał.

- Naprawdę, wierzcie mi, to jakiś dziwny żuk - powiedział zmieszany botanik. - Co to za gatunek?

- Daj spokój, wyrzuć go! – nie przestając się uśmiechać, powiedziała Hanna.

- Wygląda na to, że odkryłeś nowy gatunek - powiedział młody botanik do Alexa.

- Nowy gatunek? - zapytał podejrzliwie chłopiec, jak gdyby wyczuwając podstęp.

Halvorson przytaknął, rozejrzał się, znalazł jeszcze jeden podobny do żuka, którego trzymał w rękach, kamień, podniósł go i krzyknął zdumiony, widząc czarne łapki.

4

Żuków były dużo. Były wszędzie. Przez jakiś czas wszyscy zajęli się nimi, zapominając o Alexie. Chłopiec milczał kilka minut, potem oznajmił, że żuki mu się nie podobają.

- Boję się ich – powiedział cicho.

Nikt go nie usłyszał.

- Te żuki mnie straszą! - krzyknął, mimo woli łącząc sprawę żuków i podrapanych od upadku dłoni.

Teraz wszyscy odwrócili się w jego stronę, nagradzając go zmieszanymi spojrzeniami.

- Chcę wrócić do kawiarni!

Weyman zawołał Maclainea.

- Zabierz chłopca, Kevinie - powiedział, rzucając spojrzenie na Hannę i podejmując stanowczą decyzję, że musi skończyć zaczęłą rozmowę.

Maclaine skinął głową i zawołał Halvorsona.

- Zostanę! - powiedział botanik, zajęty zbieraniem dziwnych żuków.

- Powiedziałem...

- Niech zostanie - przerwał Weyman. – I tak niczego teraz nie zauważa, oprócz swoich żuków.

- Nie musicie się nabijać ze mnie za moimi plecami! - krzyknął Halvorson.

Podniósł jeszcze jeden kamień, przekonał się, że to także żuk, zajrzał za róg kawiarni, mając nadzieję znaleźć ich legowisko. Brzydki stwór, podobny do człowieka, oddzielił się od ściany, zakołysał się, spróbował przyjąć postać kobiety, widząc Halvorsona, rozciągnął wąskie wargi w uśmiechu. Wargi, za którymi nie było ani zębów, ani dziąseł - tylko czarna dziura, jak u dziewczyny, którą widział po zdobyciu Marsylii. Nie wiedział kim była, ani skąd pochodziła. W pamięci utrwaliła się biała sukienka z czarnymi plamami sadzy i bryzgami krwi. Odłamek eksplodującej bomby trafił dziewczynę w usta. Leżała na wznak, z rozrzuconymi rękoma. Usta ziały pustką. Taką pustkę, widział także teraz. Ożywającą pustkę. Wzdrygnął się, próbował się cofnąć, ale nogi zdradziecko oniemiały.

- Nie bój się - powiedział stwór, wyciągając do niego cienkie, pokryte śluzem ręce.

Pojął, że nie zdoła uciec i zaczął krzyczeć.

5

Stwór rzucił się na niego, zwałił z nóg. Pusta paszcza rozciągnęła się, zbliżyła się do twarzy. Halvorson chwycił jego szyję i ścisnął gardło. Po rękach popłynął ciepły śluz. Poczł, jak pomiędzy palcami przelewa się i wydłuża ohydne ciało. Paszcza znów zaczęła się przybliżać do jego twarzy. Czarne oczy obracały się, wypadały z oczodołów, rozciągając nerwowe zakończenia i wracały do czaszki...

- Gary! – zawołał ostatkiem sił.

Gdzieś daleko krzyknęła Hanna, grzmotnął strzał. Pokraka zmięła, rozlała się jak galareta.

- Niech to diabli! - Halvorson, plując z obrzydzenia, stanął na nogi. - Co to było, do jasnej cholery?

Pytająco popatrzył na Weymana, jego żonę, i przeklął, widząc jeszcze jednego stwora, który oddzielał się od ściany za węglem. Podbiegł do starszego kolegi.

- Tam jeszcze jeden! Jeszcze...! - nie zdążył dopowiedzieć, kiedy rozległ się kolejny strzał.

Weyman nie był snajperem, ale z bliskiej odległości strzelał praktycznie nienagannie. Hanna i Halvorson patrzyli bez słowa, jak rozplywa się drugi stwór. Weyman też milczał. Podniesiony colt jeszcze dymił w jego w rękach. Nie myślał o niczym. Czekał. Ukaże się kolejny, czy nie. W ciszy, nienaturalnie głośno rozlegał się jego spokojny oddech. Na niebie, leniwym mruganiem porozumiewały się wczesne gwiazdy. Na dźwięk strzałów, z kawiarni wyszli ludzie.

- Hej, co się stało? - zapytał Maclaine.

Weyman nie odpowiedział, obserwując nadal narożnik budynku.

- Myślę, że trzeba wezwać policję – zaproponowała pianiście Hanna. Zobaczyła syna, wzięła go za rękę, przycisnęła do siebie, żeby nie mógł patrzeć tam, gdzie były stwory, chociaż patrzeć nie było na co.

- Co mam powiedzieć, po prostu, żeby przyjechali? - zapytał Maclaine.

- Powiedz, co chcesz, byleby by się zjawili – rzuciła niecierpliwie, widząc zalanego śluzem Halvorsona i przywołując w pamięci ohydny stwór, rzucającego się na niego.

Maclaine zmieształ się, szybko wrócił do kawiarni, ale telefon na ścianie obok toalety, milczał. Ani sygnału, ani trzasku. Zajrzał za ladę, odszukał jeszcze jeden. Znów cisza.

- Telefony milczą - oznajmił, wyszedłszy na ulicę.

- Masz broń? - zapytał go Weyman.

- Oczywiście.

- Dobrze. Stój tu i pilnuj mojej rodziny.

Ruszył za węgiel, za którym była ciemność i nieznane.

- A ty dokąd? - spytał Halvorson, wciąż rozpaczliwie próbując wytrzeźwieć.

- Do hotelu.

- Do hotelu?!

- Własta jest tam.

Weyman zajrzał za narożnik. Niczego. Ostrożnie postąpił do przodu, przekraczając przez pozostały po stworze śluz. Ciepły wiatr kołysał samotną latarnię. Żółte światło szarpało się, wiło się po ziemi. Przeszedł około dziesięciu metrów, przystanął, wpatrując się w ciemne okna, za którymi, wydawało się, ukryły się dziwne cienie. Nieludzkie cienie.

- Gary! - usłyszał znajomy głos z potwornym akcentem, zobaczył Włastę, uśmiechnął się.

Podbiegła do niego, rzuciła się na szyję.

- Widziałam coś bardzo strasznego! - wyszeptała, parząc jego policzek ciepłym oddechem.

- Wiem – przygarnął do siebie i poprowadził do przyjaciół.

6

Hanna zmierzyła Włastę nieprzyjaznym spojrzeniem, ale nic nie powiedziała. Zgromadzony tłum stał bez ruchu, w milczeniu obserwując, co się dzieje. Ruszały się tylko oczy nieznajomych ludzi. To tu, to tam, po ziemi, snuły się żuki-kamienie. Jeden z nich spróbował wspiąć się po nogach Halvorsona. Ten zrzucił go. Wtedy żuk, zręcznie przebierając krótkimi łapami, podbiegł do wychodzącej z kawiarni kobiety, uchwycił się pończoch na jej nogach, wspiął się do spódnicy i wyżej, po swetrze na głowę. Kobieta nie drgnęła, nie krzyknęła, nawet nie mrugnęła. Nikt ze zbierających się ludzi nie zwrócił na to uwagi. Wszyscy patrzyli na Weymana i Czeszkę.

- Niech to diabli, co to wszystko znaczy? - wyszeptała Hanna, mocniej przyciskając syna do siebie.

Weyman nie odpowiedział, tylko znów wyjął schowany do kieszeni colt. Za jego przykładem podążył Maclaine. Ludzie z czarnymi oczyma ruszyli w jego kierunku.

- Stać! - krzyknął Maclaine, celując w najbliższego z nich.

Nikt nie zwrócił na to uwagi.

- Strzelać? – cicho spytał Weymana.

- Nie teraz.

Cofnęli się, ale ludzie, milcząc, nadal nacierali na nich.

- Idź do swojego samochodu i siadaj za kierownicą - powiedział Weyman do żony.

Usta kobiety, na głowie której siedział żuk, otworzyły się i rozciągnęły jak u stwora, który napadł na Halvorsona. Maclaine usłyszał, jak za plecami zatrzasnęły się za Hanną i Alexem drzwi samochodu i, już bez skrupułów, celując w ludzi-monstra, rozładował cały magazynek.

7

Hanna drgnęła, słysząc strzały. Ludzie padali i rozplýwali się.

- Nie patrz! - kazała synowi, doczekała się, aż Weyman i jego przyjaciele wrócą do samochodu i niezręcznie, krzesząc snopy iskier na krawężnikach, wyjechała z parkingu.

Co jakiś czas, wszyscy odwracali się, oczekując pogoni, ale nikt ich nie ścigał. Za to - rozpadało się i rozplýwało malutkie miasteczko. Domy, płoty, trawniki, zaparkowane samochody, nawet droga, po której jechali. Koła buksowały, wyrzucając fontanny błota. Hanna rzuciła krótkie spojrzenie na syna i mimo woli

krzyknęła przerażona, że nie uda im się wydostać, ale niespodziewanie, koła trafiły na twardy grunt, samochód pociągnęło do przodu. Na chwilę straciła panowanie nad kierownicą i auto zatańczyło na drodze. Spanikowana nacisnęła hamulec, samochód obróciło i zatrzymali się. Przez zaparowane szyby było widać, jak miasto nadal się rozplywa. Na dobrą sprawę, to już nie było miasto.

Weyman wysiadł z auta. Pod nogi przyplątał się, ratujący się jakimś cudem, żuk-kamień. Odrzucił go na bok. Było słychać, jak w samochodzie Hanna zagaduje Alexa, starając się odciągnąć jego uwagę od niesamowitego widoku. Chłopiec coś odpowiadał nieskładnie, kręcił się, usiłując wysiąść i dołączyć do ojca.

- Nigdy nie widziałem niczego podobnego - przyznał się Maclaine, podchodząc do Weymana.

Idąc, przeładował broń.

- Myślę, że może ci się jeszcze przydać - powiedział Halvorson, słysząc zgrzyt krótkich łap, biegnącego po asfalcie żuka-kamienia, przymrużył się i przeklął.

Maclaine wystrzelił, chybił. Żuk podbiegł do nóg Czeszki, zręcznie podskoczył, wspiął się na jej głowę. Dziewczyna nawet nie drgnęła, nie krzyknęła. Czarne oczy bez mrugnięcia patrzyły na Weymana. Usta zaczęły się otwierać i rozciągać, pokazując pustkę. Maclaine wystrzelił dwa razy. Pierwsza kula trafiła żuka, druga - pokrakę, w którą przekształciła się Czeszka.

- Własta... - cicho powiedział Weyman.

- To już nie Własta, Gary - powiedział mu Maclaine, obserwując, jak rozplywają się oba stwory.

Weyman milczał, nawet nie popatrzył na kałużę. Jego spojrzenie było skierowane w stronę znikającego miasta. Czy zdąży jeszcze odszukać dziewczynę, jeśli uda się tam natychmiast? Czy zdąży ją uratować? Jego Włastę...

Miasto zadrżało, zaczęło unosić się nad ziemią. Jaskrawe światło oślepiło oczy. Rekwizyty waliły się na ziemię wodospadem gęstego śluzu. Statek niespiesznie uniósł się, zawisł w rozgwieżdżonym niebie na kilka sekund i, rozbłyskując jeszcze raz jaskrawym światłem, zniknął...

Przekład: Tadeusz Rubnikowicz